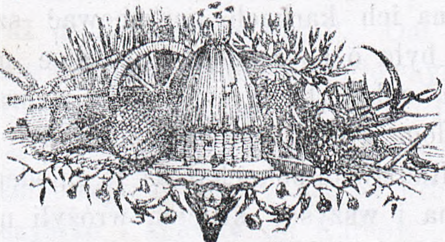
Tom XX.  **Nr. 14.**

11. Maja. **1869.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Przygody Krzysztofa Arciszewskiego.

Po wszystkie czasy żyli w Polsce ludzie wielkich zdolności, którzy czynami swemi wsławiali się nawet daleko poza granicami ojczyzny, i stawali się tam przedmiotem podziwu i uwielbienia. Jednym z tych był Krzysztof Arciszewski którego przygody jednak uczą nas, że na trwałą wdzięczność za zasługi w obczyznie położone, nigdy liczyć nie można; z początku udają że gotowi uczynić wszystko dla cudzoziemca który przychodzi swoje zdolności poświęcić, ale gdy zapał ochłodnie, gdy cudzoziemiec stanie się mniej potrzebnym, stają się dla niego zimni, obojętni, poniżają jego zasługi, a najczęściej czarną wypłacają się mu niewdzięcznością. Wówczas mąż wielki z głębokim żalem w sercu wraca do ojczyzny, radby z duszy przysłużyć się jej jeszcze więcej niż obcym — ale zdrowie i siły, gdzieindziej stargane, nie pozwalają.

Krzysztof Arciszewski żył przed dwieście kilkudziesięciu laty, jeszcze za panowania królów polskich Zygmunta III. i jego syna Władysława IV. Skoro ukończył szkoły, oddano go na dwór księcia Krzysztofa Radziwiłła sławnego wojownika

i pod jego okiem ćwiczył się w sztuce wojskowej, do której wielkie okazywał zdolności. Szlachetny młodzieniec pałający gorącą miłością ojczyzny, pragnął jak najprędzej zmierzyć się z jej wrogami i na ich karkach popróbować szabli swojej i ręki. Nie trudno było o sposobność i wkrótce pod rozkazami księcia Radziwiłła odbył kilka świetnych wypraw przeciwko Tatarom i Szwedom a dał wszędzie dowody niepospolitego męztwa. Książę Radziwiłł pokochał za to młodego Krzysztofa jak rodzonego syna i wszyscy świetną wróżyli mu przyszłość. Wtem zaszedł wypadek nadspodziewany który wywarł stanowczy wpływ na całe dalsze jego życie.

Wróciwszy po wojnie do zagrody domowej, zastał rodzinę swoją pozbawioną całego mienia skutkiem nieszczęśliwego procesu. Tknięty do żywego tą klęską Krzysztof, uniósł się popędliwością i zamordował sprawcę tego nieszczęścia. Po tym czynie nic mu nie pozostawało jak opuścić kraj rodzinny gdzie musiał się lękać sprawiedliwości. I odtąd rozpoczął życie na nowo, daleko od swoich, w tęsknocie i żalu — życie tem boleśniejsze, ponieważ ani nadziei mieć nie mógł aby mu kiedykolwiek jego czyn zapomniano i powrócić dozwolono — a był jeszcze młodym, gdyż liczył zaledwie lat trzydzieści. Nie zginął on wprawdzie między obcymi, ponieważ dawny jego wódz, książę Radziwiłł ciągle się nim opiekował chociaż z oddalenia, ale nazawsze pożegnać się musiał z młodzieńczemi nadziejami, na zawsze wyrzec się musiał myśli służenia własnej ojczyźnie.

Krzysztof Arciszewski udał się najprzód do Holandyi i tu zaciągnął się do wojska. Ale ponieważ król polski domagał się aby go wydano, uszedł do Francyi. I tu także odznaczył się niepospolicie jako dzielny żołnierz. Po skończonej wojnie popłynął znowu z wojskiem holenderskiem do Ameryki i tam cudów waleczności dokazywał na wojnie. Ile razy jego rad usłuchano, zawsze zwyciężono, co mu w krótkim czasie wielką sławę w całym świecie zjednało. Gdy po śmierci króla Zygmunta III. został królem jego syn Władysław IV. sława Arciszewskiego była już tak głośną że i w Polsce o niej mówiono. Król Władysław umiejąc cenić zdolności, postanowił przebaczyć

mu wszystko, jeżeli do kraju powróci i ojczyznie służyć będzie. Arciszewski powrócił natychmiast do Europy ale Holendrzy puścić go nie chcieli i obiecywali złote góry byle pozostał w ich służbie aż do skończenia wojny. Dał się uprosić Arciszewski i mianowany pułkownikiem i głównym wodzem wszystkich wojsk odpłynął znowu do Ameryki. Ile zwycięztw odniósł, ile miast i zamków zdobył, tego prawie niepodobna wyliczyć. W tem otrzymuje nowy list od króla polskiego. Porzuca więc wszystko i spieszy do Europy. Jakże świetnego doznał w Holandyi przyjęcia! Wybito nawet medal na pamiątkę jego świetnych czynów, a jego portrety, opisy jego żywota i czynów, rozchwytywano w całym świecie - wszyscy królowie zapraszali go do siebie, ofiarując najwyższe dostojeństwa; ale Arciszewski trwał ciągle w zamiarze powrócenia do ojczyzny. Holendrzy więc chcąc go koniecznie zatrzymać, zrobili go jenerałem artyleryi z pensyą dwadzieścia tysięcy dukatów i obiecywali zrobić go wkrótce wielkorządcą wszystkich swoich posiadłości w Ameryce. Jeszcze tym razem dał się skusić Arciszewski i znowu popłynął za morze, ale nie na długo. Wielkorządca tamtych krajów przewidując że wkrótce będzie musiał ustąpić Arciszewskiemu swego miejsca — nie tylko mu tysiące wyrządzał przykrości ale co gorsza oczerniał go. Powiodły mu się niecne zabiegi. Arciszewski który zresztą nie był już koniecznie potrzebnym, został odwołany, uwolniony ze służby i bardzo oziemble pożegnany. Ta niesprawiedliwość i niewdzięczność przyprawiła go o kilkoletnią chorobę.

Przyszedłszy do zdrowia już się ani chwili nie ociągał, jeno coprędzej wracał do ojczyzny której lat 23 nie widział. Pomimo tyloletniej nieobecności, nie wygasło w jego sercu przywiązanie do rodzinnej ziemi, to jedno go tylko bolało że mogąc już tak dawno powrócić, nie uczynił tego pierwej. Przebywającemu tak długo pomiędzy obcymi, pod obcem niebem, jakże miłą musiała być woń ojczystego powietrza, jakąż radością musiał serce jego napełnić dźwięk tak dawno niesłyszanej mowy rodzinnej. To też z wezbranem uczuciem witał starożytne grody i piękne wioski nasze a dostrzegając tu i owdzie ślady niedawnej wojny, układał w myśli plany przy-

szłych wypraw na nieprzyjaciół swojej ojczyzny. O! bo Arciszewski nie wracał dla odpoczynku po trudach; o! nie. Ożyły w nim na nowo wszystkie marzenia młodzieńcze i w myśli widział się już naczelnikiem dziarskich hufców, spieszących na Szweda lub Tatara.

Król Władysław przebaczył mu wszystko i powitał go z radością. Arciszewski został mianowany jenerałem artyleryi koronnej z pensyą znaczną a choć nie taką jaką od Holendrów pobierał, była mu ona milszą, stokroć milszą. Służbę swoją w ojczyznie rozpoczął od zaprowadzenia w wojsku ładu i porządku, a była to praca nie lada i tylko taki mąż jak Arciszewski mógł jej podołać. Jego bowiem zadaniem było nietylko całą artyleryę w kraju urządzić ale oraz dochody i wydatki ustanowić, wszystkiego doglądać, nad wszystkiem czuwać co się tylko zbrojowni i armat tyczyło. A wielka zaprowadzenia takiego porządku była potrzeba, w owym czasie bowiem przygasał w Polakach dawny duch rycerski, dawny zapał dla świętej sprawy ojczyzny. Już się zepsucie w narodzie szerzyć poczynało a za zepsuciem idzie obojętność na wszystko i smutna bezsilność.

Po śmierci króla Władysława wybuchły w Polsce straszne zaburzenia którym nowy król Jan Kazimierz nie mógł żadną miarą podołać. Zbuntowani Kozacy w sojuszu z Turkami i Tatarami straszne spustoszenie szerzyli po kraju. Arciszewskiego zdolności nie wiele niestety przydać się mogły, bo jeden nie mógł starczyć za tysiące. Wreszcie Arciszewski, choć najlepszemi ożywiony chęciami, był znękany trudami i cierpieniami, schorzały, stary, a w dodatku, butna młodzież nie chciała słuchać rad jego. Pomimo tego wszystkiego kilkakrotnie jeszcze przysłużył się ojczyznie, zwłaszcza kierując obroną miasta Lwowa gdy je niezliczona ćma Kozaków, Turków i Tatarów obległa. Byłby jeszcze więcej dokazał gdyby go słuchać chciano, ale tak to zwykle bywa na świecie że młodzi nie ufają doświadczeniu starego, i wolą spuszczać się na własne siły.

Widząc to Arciszewski zabolał ciężko i prosił króla aby go od dalszej służby uwolnił. Co gdy się stało, przeniósł się

do krewnych mieszkających pod Gdańskiem i ostatnie kilka lat życia przepędził w domowej zaciszy.

Wspomnę tu jeszcze o jego pogrzebie który był równie osobliwym jak całe życie tego wielkiego męża. Oto gdy go chowano w mieście Lesznie, wybuchł pożar w kościele, właśnie w chwili gdy zwłoki do podziemiów spuszczano. Ratunek był niepodobny, jakoż cały kościół zgorzał a z nim i zwłoki Arciszewskiego.

WDZIĘCZNOŚĆ.

Co to jest wdzięczność? uczucie nie słowa —
To — co się w duszy głęboko odzywa:
Niemy co nie wie, jak brzmi ludzka mowa,
Pamięcią serca tę cnotę nazywa.
Wdzięcznością nie są przysługi wzajemne,
Przez nie się tylko życzliwość obudzi...
Wdzięczność prawdziwa ma drogi tajemne,
Lecz nie od wszystkich dostrzeżone ludzi.
Jeźli po jakim poczciwym uczynku,
Jałmużnie z serca — której nikt nie głosi,
Nikt ani dzięku, ani upominku,
Ani pokłonu tobie nie przynosi —
To znak — że wdzięczność poszła dalej.. wyżej!
Że już pod świętą zostaje opieką —
I w ów czas bywa nas ona najbliżej,
Gdy nam się zdaje — że bardzo daleko!
A nieraz kiedy, modląc się z pokorą,
Uczujesz w duszy jakiś pokój błogi...
I nie wiesz zkąd się te natchnienia biorą?
To ci przez niebo — dziękuje ubogi!...

O! gdzież te czasy pokoju, prostoty,
Kiedy Bóg zapłać — wymówione z wiarą,
Najmilszą było nagrodą dla cnoty,
Najświętszą było ubogich ofiarą!...

G. Puz...na.

Szymon z Zawiśla.

IX.

(Dokończenie.)

Aliści gdy tak pewnego razu Marynka siedziała na onym pagórku z okiem wytężonem ku drugiemu brzegowi Wisły, ujrzała po tamtej stronie łódź wielką i kilku ludzi którzy się koło niej krzątali.

Jeden z nich przyniósł pęk choiny świeżej, drudzy odebrali go od niego i stroili łódź zielonemi gałązkami.

Zdziwiona temi nigdy nie widzianemi przygotowaniami Marynka z szczególniejszą niespokojnością oczekiwała końca.

Nie długo czekała.

Ukazało się na brzegu znowu kilku innych ludzi. Jeden niósł basy, drugi skrzypce, trzeci flet, a tuż za nimi postępowała gromadka mężczyzn i kobiet, młodzieży i dziatwy z wieńcami i bukietami weselnemi.

Marynka zapłoniła się.

— O Boże, szepnęła sama do siebie; może i on jest pomiędzy niemi!

Wytężyła wzrok, wpatrywała się w każdą twarz; nadaremnie. Było zbyt daleko aby mogła rysy rozróżnić.

Czeka więc znowu i niecierpliwi się, aż oto muzykanci wsiadają na łódź i grać zaczynają.

Inni, na brzegu stojący podają sobie ręce jakby się żegnali, pojedyncze słowa wiatr porywa i niesie na tę stronę, ale to słowa bez związku, z szumem wiatru i wody zmieszane, nic zrozumieć nie można.

Wtem rozstępuje się gromadka, kilku ludzi a między nimi kobieta jakby z dziecięciem na ręku, wsiadają na łódź.

Podnoszą się wiosła, jeszcze jedno szczęść Boże zabrzmiało na brzegu, ruszyli i płyną.

A gdzie płyną?

Marynka się zerwała i śledzi łódź oczyma, a uszyma chwyta dźwięki dolatującej ją muzyki. Jakże jej miłe to granie! Przypomina sobie Szymonowe piosnki, cieszy się, sama

nie wie czego, łzy jej gwałtem także niewiedzieć czego, cisną się do oczu.

— Któż to taki? i poco tu płynie? mówi Marynka sama do siebie.

— Może to on? może to on doprawdy?

Przetarła czoło ręką.

— Nie nie, to być nie może. A jeżeli to on jest w istocie o! to nie do nas on płynie. Po cóż tyle ludzi? na co muzyka? na co to zdobienie łodzi? Czyliż my tego warci?

Stoi i czeka jeszcze.

Wiosła pracują żwawo, ale Wisła szeroka, łódź na środku dopiero.

Marynka wpatruje się, bliżej ku wodzie podbiega, szuka oczyma tego którego ujrzeć pragnie.

— To on! to on! wykrzykła wreszcie i klasnęła w dłonie z radości.

Wnet umilkła, jakby oczom własnym nie wierzyła i wpatruje się jeszcze.

Tymczasem łódź się przybliża coraz bardziej i bardziej, coraz wyraźniej słychać wesołe skrzypki i poważne basy. Marynka już pewna że się nie myli, w miejscu dostać nie może, bieży do chaty, jak szalona wpada do izby, rzuca się w matki objęcia.

— Matko droga... tam na łodzi... on jest... muzyka... ludzie z nim jacyś... już tu... już na brzeg wysiedli...

Zerwie się matka zdziwiona:

— Co mówisz? Bóg z tobą dziewczę! czy cię rozum odbiega? Jaka łódź? gdzie on?

Jakób wyjrzy za okno, aż oto pod wrotami odezwie się muzyka i pieśń.

W izbie nastała głęboka, uroczysta cisza. Marynka słuchała pieśni z ustami wpół otwartemi, jakby do uśmiechu, stojąc na środku izby głęboko zamyślona jakby skamieniała.

Słowa i dźwięki pieśni wdzierały się jej do głębi serca, z oczu łzy płynęły.

O jakże pieśń ta była miłą a oraz i smutną dla Marynki. Miłą jej była, bo jej zwiastowała szczęście największe, związek

dozgonny z tym dla którego miała uczucie gorącé choć dotąd sobie nieznane nawet z nazwiska, a smutną, bo zwiastowała jej bliskie zerwanie z szczęśliwą przeszłością, nowe obowiązki i trudy.

Wreszcie pieśń ucichła, skrzypła zapora, wszedł Szymon z Józefem i Halką których przywiódł aby poznali przyszłą jego rodzinę, i z dwoma drużbami.

Powitanie było krótkie, ale i serdeczne. Józef wytłumaczywszy należycie Szymona dla czego dawniej nie przyjął ręki Marynki gdy mu ją dobrowolnie ofiarowano, prosił teraz o nią uroczyście dla Szymona, a gdy i rodzice zezwolili i dziewczyna przeciwną się nie okazała, na wszystkich licach wesołość zabłysła i bez zwłoki odbyły się zaręczyny.

Młodzież trzydniowska domyślając się co zaszło w chacie Jakubów, ciekawością zdjęta gromadziła się w podwórku, i cisnęła koło okien. Parobcy i dziewki niecierpliwie oczekiwali aż rodzice młodą parę pobłogosławią, i zazdrościli Marynce Szymona a Szymonowi Marynki. Panna młoda postrzegła gości, a że w szczęściu zwykle złe zapominamy, i Marynka więc widząc się szczęśliwą, z serca przebaczyła sąsiadom i sąsiadkom doznane od nich przykrości, i mile powitała rówieśników.

Muzyka zabrzmiała krakowiaka, podwórko uprzątnięto czemprędzej i rozpoczęły się ochocze tany które przez całą noc trwały.

Przy wieczerzy do której wszystkich zaproszono, obiegały gęste wiwaty za zdrowie państwa młodych, gospodarstwa, przybyłych gości i całej rodziny.

Wschód słońca przerwał miłą i wesołą zabawę; każdy z biesiadników pospieszył do codziennej pracy, a Halka z Józefem odpłynęli z powrotem do domu. Szymon pozostał już na tej stronie. Wkrótce po zaręczynach wyszły i zapowiedzi a niebawem odbyło się i wesele na które znowu Halka z Józefem przybyli.

Szymon ożeniwszy się z Marynką jeszcze pilniej jak dawniej pracuje na gruncie i jest najrządniejszym gospodarzem w całym Trzydniowie, a Marynka, już teraz jego żona najrządniejszą gospodynią.

*

Ukończywszy moją powieść, w lat parę po tych wypadkach, postanowiłem udać się jeszcze do Trzydniowa, aby się na miejscu przekonać czy mi nie wypadnie dodać co lub odmienić.

Szczególniejszem zrządzeniem losu przybyłem tam w bardzo smutną chwilę bo właśnie wtedy, gdy się odbywał pogrzeb rodziców Marynki, którzy oboje w jednym dniu, ba jednej godziny umarli.

Śmierć, zwykły to koniec wszystkich ludzi, nikt się od niej nie wykupi, każdego z nas po kolei zabierze, pomyślałem sobie i pobożnie zmówiłem Anioł pański za duszę zmarłych. Snać Jakubowie dopełniwszy tu już wszystkich swoich obowiązków, nie mieli co robić na świecie kiedy ich Pan Bóg powołał do swojej chwały. Stało się, jak Bóg chciał.

Gdym sobie tak myślał, nadeszło kilku dobrze mi znanych gospodarzy trzydniowskich którzy właśnie rozmawiali z sobą o Jakubach; przybliżywszy się do nich, usłyszałem wiele dziwnych rzeczy o śmierci tych poczciwych ludzi, co też tutaj dodaję.

Jakubowie wydawszy Marynkę za Szymona, zdali na niego całe gospodarstwo, a nie mając już sił do pracy usunęli się zupełnie od trudów gospodarskich. Tęsknota po jedynym synu Szymku, co zginął w wojsku, już ich tak nie dręczyła. Przykładne pożycie Marynki i Szymona, ich zabiegłość i praca, dobroć ich serca i odbierane dowody przywiązania, wszystko to cieszyło i rozrywało starców, a doczekanie się wnuka i do tego Szymusia, ocuciło ich i zmniejszyło ich boleść i cierpienie z dotkliwej straty pochodzące. Nigdy jednak zupełnie o nim zapomnieć nie mogli i — nie mogąc opłakiwać syna na jego własnym grobie, bo Bóg wie gdzie on tam spoczywał, jeźli w ogóle mają gdzie spoczynek kości biednego żołnierza, w nieprzyjacielskim kraju pogrzebionego — pod kościołem, przy drzwiach zamkniętych siadywali i tam na modlitwie i płaczu spędzali niejeden wieczór; tam też znaleziono ich oboje bez duszy. Gdy ich rozbierano po śmierci, znaleziono u Jakuba na piersiach ukrytą czerwoną rogatywkę, tę samą którą Szymuś nosił nim przywdział mundur wojacki, a u Jakubowej koszulkę z niemowlęcia, prawdopodobnie tę samą

w którą ukochanego Szymusia, wydawszy go na świat, po raz pierwszy odziała.

Musiały to być dla nich bardzo drogie pamiątki kiedy się tak z niemi aż do ostatniego tchu życia nie rozdzielali, więc ich im i po śmierci nie odebrano i wraz z niemi do trumien włożono.

Stanisław Krakowczyk.

Zakład powszechny z hojnie zastawionemi dla wszystkich stołami.

I.

I jakiż to przez ludzi założony, chociażby i najdostatniejszy zakład dla nakarmienia bliźnich, lub uraczenia przybyłych gości, dałby się porównać z wielką zastawą, jaką nasz wszechwładny Twórca wszechświata, dla swoich stworzeń na Ziemi żyjących urządził, i do użycia zgotował? Tu w każdej chwili i we dnie i w nocy, miliony życiem obdarzonych istot poją się i karmią; jedni goście wcześniej, a drudzy później przychodzą, a zawsze tak hojny wszystkiego dostatek, że dla każdego ulubiona potrawa w chwili jego nadejścia, już gotowa czeka na niego. Tu biesiadują wielcy i mali, silni i słabi, a nawet i chorzy znajdują tu wszystko przed sobą zastawione, co do ich wzmocnienia i uleczenia jest pomocne; i nim się potrzeba okaże, już dla nich dawno obmyślana ulga.

I czemże była obfitość na dworze króla Salomona, w porównaniu z nadmiarem dostatków i bogactw w wielkiem gospodarstwie przyrody? a jednak nic się tu nie uroni na próżno, żadna kruszyna, żadna kropelka z jej darów nie zmarnuje się daremnie, najmniejszy jej podarek znajdzie swego stołownika: co wielcy pozostawią, to idzie w pożytek dla małych; co jedni od siebie odrzucą, to drudzy z chciwością zabiorą, a coby tym obrzydzenie sprawiało, lub dla nich było trucizną, to znowu dla innych zbawiennym jest pokarmem.

U Indyan w Azyi aż dotąd wyznających bałwochwalstwo, wzbronione jest nienależącym do stanu kapłańskiego być obecnym w czasie obiadu bramina (kapłana), a tem bardziej nie

wolno jeść i pić obcemu z tego samego naczynia i kubka. Tak i na naszej Ziemi zachowuje się pewien porządek pomiędzy żyjącemi istotami, które tajemnie odbywają swoje biesiady, i nigdy swej misy nie ukażą drugiemu. Ten zwyczaj szczególniej daje się widzieć w królestwie roślinnem. Ani bramin nie ukrywa staranniej swej izby jadalnej, jak drzewo w głębi ziemi rozkładając swoje korzenie, tajemniczo bierze niemi pokarmy, bo i jakież oko człowieka, albo sokoła zdołałoby dostrzedz kwas węglowy, lub parę wodną w powietrzu, którą to przecież karmi się ów kaktus, co na litej skale swe soczyste liście i kwiaty rozwija, i mięsiste wydaje owoce. I samo z siebie wynika, że ani zwierz, ani człowiek nie nasyciliby się przy tej samej, co i wysoka palma zastawie; żadne albowiem z nich nie przestałoby na samem powietrzu, rosie niebieskiej i na zgniłym, wilgotnym gruncie. Stół przy którym macierzyńskie siły i soki ziemi, równie jak i światło słoneczne w tym celu karmią i poją królestwo roślinne, aby winna latorośl, owoce i napój wydała, a kłos zbożowy na mąkę pszeniczną lub żytnią posłużył, jest i będzie dla takich jak my gości, na zawsze niedostępny i tajemniczy.

II.

Pieczołowitość przyrody o zwierzęta, mające utrudnione wyszukanie sobie pokarmów.

Do zastawy większej części zwierząt, badawczemu naszemu oku, dozwolony jest przystęp, i urządzenie wielkiego zakładu ugoszczenia bywa dla nas zrozumialsze. Na pierwszym względzie należy mieć młode i niedołężne, a niezdolne do wyszukania sobie strawy, zwierzątka, którym nietylko pożywienie dostarczać potrzeba, ale nadto karmić je należy. Miłość rodziców wyświadcza tę przysługę młodemu, słabemu i jeszcze nieopierzonemu ptakowi; zwierzęta zaś pozbawione pieczy rodzicielskiej, a przytem bezwładne, doznają opieki daleko dzielniejszej i skuteczniejszej, niżeli wszelka miłość macierzyńska. Ostryga podobnie jak inne mięczaki, silnie przyczepia się do skały; nie ma ona oczów i nic takiego, coby właściwą głowę

stanowiło, ma tylko usta okazujące chęć do jedzenia, a ciało, dla utrzymania życia, wymagające pokarmu; a jednak dosyć jest, żeby tylko swoje skorupy otwarła, a głód swój zaspokoi niebawnie Robaczek w orzechu (strąkowiec orzechowy), zamieniający się następnie w chrząszczyka, z przyczyny nóg pieńkowatych, zbyt krótkich, żleby na tem wyszedł, jeżliby za pożywieniem musiał wychodzić, ale on (jak ów chłopiec w bajce, co to w olbrzymim pączku zamknięty, żywił się i nasycał jego ścianami, dopóki się na dzienne nie wydostał światło), siedzi sobie wygodnie w słodkiem ziarnie, i zajada nie ruszając się z miejsca. Wten sposób większa część poczwarek bezpośrednio mają swój pokarm pod usta podstawiony, lub przynajmniej nie daleko po niego sięgają.

Ale nietylko dla tak zwanych zwierząt niższego rzędu, ułatwiła dobroczynna natura dogodną, bezpośrednią pomoc, ale i dla zwierząt doskonalszego składu, jeżeli dla nieudatnych nóg lub innych przyczyn doznają przeszkody w łatwem wyszukaniu sobie pożywienia, obmyślane są zasobne szpitale i miejsca dobroczynne, ułatwiające im utrzymanie się przy życiu. Leniwiec np. niezdolny do swobodnego chodzenia, nie mało ucierpiałby głodu, nimby go zaspokoił. Tak więc gęsto liściami pokryte drzewa, na których długiemi pazurami wygodnie utrzymać się i wspinać może, są dla niego domem inwalidów, dostarczającym mu dostatnio pokarmu. Mrówkojad znowu nie potrzebuje na swój posiłek liści drzew, ale owadów; jakżeby więc użył swych z długiemi pazurami nóg, jeżliby mu przyszło gonić za drobnym a rączym owadem? Dlatego to więc inwalida, wśród samej pustyni, liczne są i obficie zastawione stoły, i tylko zbliżyć się mu potrzeba, żeby się bez utrudzenia nakarmił. Tym stołem są mrowiska, które ostremi rozkopuje pazurami, a potem swój lipki język między roje małych a zwinnych zwierzątek zapuszcza, a gdy ten po kilku chwilach cały pokryje się mrówkami, wciąga go i żywy połyka przysmaczek.

Nawet i ptaki oprócz nóg i skrzydłami do ruchu opatrzone, według potrzeby doznają ułatwienia w uzyskaniu żywności, a często w najdziwniejszy sposób. W porównaniu

z gęsicą (warzechą), i czapla zbyt mało do chwytania ryb usposobiona, używa przemysłu; rybki albowiem przyrodzony jej odchód za przysmaczek poczytujące, zgromadzają się licznie około jej nóg, i służą gościowi za pokarm do zaspokojenia jego głodu. Nietoperz mało ma czasu do polowania, bo długi czas zimowy przesypia, a w lecie kiedy najwięcej dla siebie i swego potomstwa potrzebuje, noc bywa krótka. Ale połów jego nocny jest zato obfitszy, jak innych zwierząt owadożernych, we dnie polujących. Bo przy zmroku i ciemności nocnej, napotyka na tłuste i mięsiste pieczenie ciemek, maików i wiele innych chrząszczów. Sowa w obwodzie swego pobytu przez inne drapieżne ptaki, pozbawiona łupu, dopiero po odbytej biesiedzie, i rozejściu się nasyconych już gości, przychodzi do stołu; ale i o tym później nadeszłym gościu nie zapomniano, a chociaż jej wzrok nie sięga tak daleko jak sokoła, to przecież po sąsiednich polach i łąkach, wyborne w wielkiej ilości przygotowane dla niej znajdują się przekąski, a krótki nawet czas zmierzchu i nocy dostatecznie ją z jej młodemi nasycić może; bo właśnie przy zapadającym zmroku, przy świetle księżyca i pierwszym dnia brzasku gromady polnych myszy, jako najdelikatniejsza zwierzyna, na rozległe na paszę błonie wychodzą, i łatwą stają się puszczyków zdobyczą, gdy tymczasem wielki puhacz z równem powodzeniem na dzikie króliki i młode zające napada.

Zaiste nie dźwięk donośnego dzwonu wzywa na naznaczoną godzinę do właściwego, stołu i przygotowanej biesiady, ale głos sprowadzający tam zwierzęta, gdzie o ich nasyceniu miano staranie, silniejszy on jest zapewne, niżby go zmysłem dosłyszeć było można; przebiega on bowiem przez morza i kraje, przez wszystkie sfery nadziemskiego stworzenia. I zwierzęta nie dosłyszą tego głosu samym zewnętrznym zmysłem, ale tylko zmysłem wewnętrznym; bo chociaż ptak wędrowny ma oko bystre i w dalekie strony spogląda; choć obdarzony ostrym słuchem i delikatnem powonieniem, za zbliżeniem się jednak zimy pozbawiającej go wszystkiego, co do utrzymania życia jest potrzebne, jego zdrowe zmysły mało, lub wcale mu nie przydatne. Chociaż na szczycie najwyższego drzewa, lub skały nadbrzeżnej usiędzie, i daleko poza morze swój wzrok wytęży,

nie dojrzy przecież kraju na zimową porę przeznaczonego dla siebie. Popęd do wędrówki i ptaka w klatce, gdzie wszakże i chłodne powietrze jesienne i niedostatek pokarmu uczuć się mu nie daje, tak nieprzepartą siłą ogarnia, iż we dnie i w nocy nie doznaje spokoju; młoda kukułka chociaż własnych swych rodziców nie widziała, odlatuje natychmiast jak tylko z ludzkiego uwięzienia wydostać się może, instynktem do wędrówki parta, leci prosto na południe do ciepłego kraju. I bez wątpienia, ten pociąg do zastawnej biesiady w dalekich stronach dla wędrowca przygotowanej, jest niezrównanie silniejszy, niż to okazuje do skały przyczepiona ostryga, przez otwarcie ust dla otrzymania pokarmu; ale równie ptak, jak i ostryga ślepo idą za głosem twórczym, który je do bytu i życia powołał.

III.

Rośliny z szkodliwych nawet pierwiastków, użyteczne dla zwierząt wyrabiają pokarmy.

Co do licznych dań, któremi się w wielkiej gospodarce przyrodzenia, szczególne rodzaje zwierząt ugaszczają, zastawione potrawy co do swej istoty i przyrządu, są tak rozmaite jak jak goście raczący się niemi. Królestwo roślin służy na utrzymanie zwierząt szczególniej na polu żyjących, w braku bowiem roślin, zwierzęta mięsożerne ostaćby się nie mogły. Rośliny lądowe równie jak morskie, przez tajemnicze pobieranie pokarmów, tak zwierzętom na lądzie, jak i w morzu, swoich sił i soków żywotnych hojnie użyczają.

Rośliny są w stosownym dla siebie żywiole, czy to w wodzie, czy na powietrzu, gdy mają właściwy sobie stopień ciepła i światło słoneczne, i gdy wszędzie znajdują to, co im do bytu potrzebne Woda i pierwiastki powietrza i ziemi, za pokarm roślinom służące, wszędzie na północy i na południu, na wschodzie i na zachodzie są zawsze te same, i żadnej więcej nie potrzebują przyprawy, prócz światła słonecznego i ciepła. Królestwo zwierząt znowu wybredniejsze jest; wymaga bowiem rozlicznego w składzie swoim pożywienia. Każdy prawie rodzaj karmi się w różny sposób przyrządzonym pokarmem w naczyniach i

kuchni roślinnej, lub ciała zwierzęcego. Gdyby człowiekowi, psu lub owcy, zamiast właściwego im pokarmu, zastawiono polewkę z wody i pierwiastków znajdujących się w powietrzu i gruncie błotnistym, wtedy wszystko troje: człowiek, pies i owca, nie tknęliby się tej zastawy, i z głoduby poginęli. Lecz gdy te same pierwiastki przerobią się w roślinie na listki i łodygi trawy i koniczyny, na mączkę w ziemniaku, na ziarno pszeniczne lub w owoce drzewa, lub winnej latorośli, i dostatecznie się przyrządzą; albo w dalszem przekształceniu w żołądku zwierzęcia zamienią się w krew i mięso, mleko i ser, wtedy człowiek, pies i owca będą z takiego pokarmu zadowolone.

A jak to niżej jeszcze wydatniej zobaczymy, przekonamy się, że królestwo zwierzęce, kiedy w gościnę do królestwa roślinnego przychodzi, nie stołuje się za darmo, ale hojnie za jadło wypłaca monetą wprawdzie, dla odbierającego tylko, a nic dającego wartość mającą, bo — dla dawcy — nie tylko ta zapłata taniej przychodzi, niż dla Europejczyka perełki szklanne, albo muszelki morskie, któremi murzynom za owoce i drób płaci, ale nadto całe królestwo zwierząt wyginąćby musiało, nie pozbywszy z siebie tego ciężaru. Tym zaś ciężarem jest kwas węglowy, któren zwierz z każdem odetchnieniem wyziewać jest znaglony, jeżeli nie chce wystawić się na uduszenie. I właśnie to, co zwierzę z tym powietrznym oddechem, albo pod inną postacią z siebie wypycha, jest kwas węglowy, który wciąga roślina, jako istotne dla niej pożywienie Lecz od tego dla naszych postrzeżeń odleglejszego stołu służebnego królestwa roślin, zwracamy się do bliższej nam zastawy pańskiej, jaka dla zwierząt jest zgotowana. (Dok. nast.)

Niedziela w Londynie.

W Londynie największem w Europie, bo do trzech milionów ludności obejmującem mieście, ruch, wrzawa, zgiełk, nieustannie wijące się tłumy najrozmaitszemi czynnościami zajęte, a na każdem spotykane miejscu, przez cały przeciąg dni roboczych całego tygodnia, nie ustają na chwilę, i zaledwie późna noc przerywa to hałaśliwe rojenie się w zabiegłej pracy roboczego ludu, w tej olbrzymiej potężnego państwa stolicy. Ale raz w tygodniu panuje w Londynie zupełny spokój i cisza powszechna. Jest to uroczysty spoczynek niedzielny. Wszelki gwar, wszelkie zabiegi, zachody, w tym uświęconym dniu

ustają; dzień przez Pana na święcenie postanowiony, z najgłębszem odbywa się uszanowaniem Całe niezmierzone miasto uciszone, jakby wymarłe, ulice, rynki próżne, milczące, głuche. Olbrzymie okna w sklepach kupieckich wszędzie zamknięte, i starannie pozasłaniane; wozy nie skrzypią, żadna czynność dnia powszedniego nie zajmuje nikogo, a każden cały tydzień trudem dziennym w pocie czoła uznojony, nie chciałby pozbawić się błogosławieństwa okazującego się w błogiej wypoczynku chwili. Wszelkie zgiełkliwe zabawy jak i wystawniejsze biesiady odkładają się zwykle na dnie powszednie.

Przy rozpoczęciu się nabożeństwa przedpołudniowego, zaczynają się wszystkie ożywiać ulice. Zewsząd jak najtroskliwiej przybrani mieszkańcy spieszą do świątyni. Sta kościołów, między któremi i kaplic nie mało, nie wystarczają dla milionów ludu, a sta tysięcy, choć słyszą wzywania ich do domu Bożego, nie mogą się dla braku miejsca, w świątyni Pańskiej ukorzyć. Od dawnego dość czasu odbywa się w Londynie publiczne pod gołem niebem dla uboższego ludu nabożeństwo, z stosowną w kazaniach nauką, a nie rzadko, tysiące zgromadzonych słuchaczów, korzystają z wykładu świętej nauki.

W pogodnych dniach świątecznych, zwykle po południu cała Tamiza łodziami jest pokryta, które zasiedziałych przy tygodniowej pracy mieszkańców na otwarte miejsca rozwożą, a szczególniej do rozkosznych ogrodów w zachodniej stronie miasta położonych. Znakomici i majętniejsi w powozach udają się do pobliskich wsi, i często przed kościołem wiejskim, liczne dają się widzieć zaprzęgi, zaniedbania bowiem służby Bożej nie dopuszczają się tam lekkomyślnie.

Chrześciański przyjaciel ludzkości przed niedawnym czasem, założył stósowny dla żeglarzy kościół: jestto wielki na Tamizie stojący okręt, którego całe wnętrze urządzone jest na dom Boży, 600 osób pomieścić w sobie mogący. Tu wieczorem w niedzielę i święta dla zajętych służbą okrętową majtków, i dla rodzin nad brzegiem rzeki zamieszkałych, odbywa się stósowne do powołania żeglarza nabożeństwo. I nie jeden w burzach życia zahartowany majtek, czuje swojego serca wzruszenie, gdy ma wskazaną gwiazdę przewodnią go wiary, nadziei i miłości, wiodącą na nieomylną drogę, na wybrzeża do przystani wiecznego pokoju.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.